

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej z rana do 7-ej z wieczora.

Prenumerata kwartalna w Warszawie 1 rb., z przes. poczt. 1 rb. 25 kop.

Nr. 49. Warszawa, d. 3 Grudnia (20 Listopada) 1904 r. **Rok III.**

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata“: *w Warszawie rocznie rb.* 4, *półrocznie rb.* 2, *kwartalnie rb.* 1. *Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb.* 5, *półrocznie rb.* 2.50, *kwartalnie rb.* 1.25. *Za granicą rocznie rb.* 6; *wraz z* **„Bibljoteką ilustrowaną podróży i powieści“:** *w Warszawie rocznie r.* 6, *półrocznie rb.* 3, *kwartalnie rb.* 1 *kop.* 50.— *Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb.* 7 *kop.* 50, *półrocznie rb.* 3 *kop.* 75, *kwartalnie rb.* 1 *kop.* 88. *Za granicą rb.* 9.—*Za odnoszenie do domu* 15 *kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop.* 20.—*Cena numeru kop.* 10.

Do art. p. t.: „INDJE“.



Nad świętym Gangesem w Benaresie.

PIOTR LOTI.

INDJE.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy.*)

Tymczasem nadchodzi godzina Brahmy i wzdłuż rzeki rozpoczyna się przepotężne życie religijne wieczora. Wszystkiemi schodami zstępują bramini, przybrani w opony; schodzą aż na dół po wodę świętą do ablucji i do obrzędów, do których stan ich zniewala; stopnie granitowe, niedawno tak opuszczone, napełniają się tłumem milczącym; tysiące małych promów, oczekujących u brzegu, w cieniu świątyń i pałaców, tysiące pomostków trzcinowych, przeznaczonych na tę chwilę powszechnej modlitwy, pokrywa się tłumem marzycieli, usadowionych w pozie hjeratycznej, milczących i znieruchomionych. I wkrótce myśl bezmierna tych tysięcy ulatuje ku Niezmierzonemu z tamtej strony, gdzie później czy wcześniej muszą się stopić i zmroczyć nasze istnienia ułudne.

W zakątku martwych, obok trzech trupów dymiących, są jeszcze dwa inne kształty ludzkie, spowite w muśliny i do połowy zanurzone w rzece; biorą kąpiel w tej wodzie świętej tak samo jak ci, obok żyjący, kąpiel ostatnią przed ostatecznym złożeniem na stosie drewnianym, który już dla nich poczynają układać.

Na brzegu przeciwległym, który jest płaszczyzną niezmierzoną iłu i traw, zatapianą co rocznie przez Ganges, mgły wieczorne zgęszczają się coraz bardziej; zrazu skraj tylko był zasnuty mgłami bezładnemi; teraz mgły te przybierają kształty, stroją się w zarysy, jak to bywa na niebie w czas dżdżysty. A wielkie miasto święte zdaje się wspinać amfiteatrem dla oglądania u swych stóp tych cyplów obłocznych.

W zakątku martwych, młody fakir zastygł w pozie stojącej, z rękoma skrzyżowanemi, z głową pochyloną ku temu, co się dzieje żałobnie pośród tego stosa złych drewek wilgotnych. Włosy spadają mu na ramiona; nagie ciało, piękne jeszcze i muskularne, posypane białym prochem, a na piersi ma wieniec z łotociów, jak te, które się rzuca codziennie rzece w ofierze.

Nieco ponad stosami, na fryzie starego pałacu, który wieki już jak runął do rzeki, gromada z pięciu czy sześciu ludzi trwa, przykucnięta, z głowami opowitemi, w zasłony, zdająca się spoglądać równie bacznie jak fakir: to rodzina tego, który się spala.

Osobliwie dwaj z nich, którzy wyglądają na starców złamanych, zdają się obserwować najniższy, najmniejszy z trzech ogniów. „To chłopiec zaledwie dziesięcioletni—objaśnia mój hindus-przewoźnik, który poinformował się na brzegu,—ale to wszystko jedno, zamało położyli drzewa". Dym unosi się ku grupie nieruchomej; dym z małego stosa, który poczyna się pomimo to zajmować, rozdmuchuje śpiesznie czereda spalających, rozdmuchuje ów ogień biedoty brudną przepaską, którą jeden z nich zdjął sobie z pasa. A świątynie, pałace, wszędy w niebo zamglone strzelające, królują swą obojętnością wspaniałą nad tym zakątkiem czarniawym, gdzie kończy się wszystko ciało, przytłaczają przepychem swym te nadto powolne paleniska ubogich, wszystką tę nędzę—nawet w samej śmierci.

Tej że chwili, na górze wschodów olbrzymich, ukazuje się nowy orszak żałobny; z wylotu mgły, którym jest ulica, wypływa piąty trup i kieruje się ku staremu Gangesowi, do którego prochy zostaną wrzucone. Na gałęziach bambusowych, związanych, jak nosze, sześciu ludzi z nizkiej klasy, obdartych, półnagich, niosą go, nogami naprzód, prawie pionowo, tak spadek jest stromy; poza tym nikt nie towarzyszy, nikt nie płacze, a dzieci, które jednocześnie schodzą do kąpieli, pląsają wesoło dokoła, jakby nic nie widziały. W Benaresie jedynie dusza coś waży; gdy ona odleci, nie robią sobie nic z tego, co zostało. Zaledwie ubodzy przeprowadzają swoich do tego zakątka śmierci z obawy, by nie za mało położono drzewa na stosie i żeby spalający nie wrzucili czasami do rzeki członków, niestrawionych przez ogień.

Trupa tego, który się zbliża, okrywa muślin różowy w deseń wielki, jaskrawy. Do bioder jego przyczepione kwiaty białe gardenji i czerwone hibiskusów. Kształt kobiecy: zresztą te kwiaty dostatecznie mówią o tym; pomimo omdlałości lodowej, materja lekka uwy-

datnia ją przecudnie. „Córa bogatych—mówi mi przewoźnik—niech pan patrzy, jakie ładne drzewo dla niej niosą".

Żeby wyczekać, każę zatrzymać barkę na tej wodzie Gangesu, wodzie mętnej, żółtawej, szlamowej, wiecznie pokrytej płatami kwiatów, wieńcami i girlandami, pełnej porostów i nieczystości, skąd odór grobowców się wzbija.

Róże, tuberozy, a głównie żółte kwiatki nanizane, równianki łotociów i gwoździków indyjskich, wszystko to, co się rzuca co dnia w ofierze starej rzece świętej, pływa i rozkłada się. Piana biała i szumowiny nadbrzeżne, całe zasłane żółtemi kwiatkami, które się łączą z prochami ludzkiemi dla wspólnej zgnilizny.

Piękna nieboszczka zstępuje, pieczy tragarzy oddana, jak rzecz licha. Gdy już się znalazła na brzegu, blizko odemnie, składają ją na ile, do połowy zanurzoną w rzece, na kąpiel ostatnią; a jeden z ludzi pochyla się nad nią, wszelako z odcieniem szacunku, by odsłonić ostatni najważniejszy raz jej lice i wlać jej do ust, stosownie do obrzędu, nieco wody z Gangesu, który zaczerpnie swą dłonią. I oto dostrzegam parę oczu wydłużonych, zamkniętych i podmalowanych, które odznacza czarna frędzla powiek; nos prosty z wytwornemi skrzydełkami; policzki i wargi wytworne w rysunku, pół otwarte nad białą emalją. Była cudownie piękną i bez wątpienia jakiś wypadek nieszczęśliwy podciął ją w pełni sił, w pełni rosnącej młodej wybujałości, iż zaledwie została nieco zmienioną przez śmierć. Zresztą, materja różowa, która ją okrywa, obecnie zmoczona i przezroczysta, oblepia jej piersi, biodra i nie ukrywa już nic z piękności jej ciała... I wszystko to powierzono tragarzom brutalnym—i za chwilę prochem to będzie... Tymczasem—kolej na jednego z dwu drugich trupów, którzy tu czekali, kąpani w wodzie świętej, na mężczyznę, spowitego w biały muślin; jego też kładą na stosie. Nie jest zesztywniały; głowa jego przez chwilę słania się na prawo i na lewo, wreszcie staje się nieruchomą na wezgłowiu drewnianym; przykrywają go gałęźmi i zapalają od strony nóg. Co się tycze małego chłopca, to on wciąż się licho pali, wyściełając dym czarny na dwójcę nieruchomą starych rodziców, którzy na to patrzą.

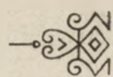
Wkrótce godzina spoczynku ptaków, która wszędy w Indjach, a zwłaszcza tu, w Benaresie, nabiera ogromnej wagi; chmary wron, śmierć wieszczące, chmary gołębi krążą w niebie bladym, i każda z piramid świątyniowych posiada swój własny kołowrót, który kołuje w kręgu, jak kamienie z procy. Mgła rzeki, wciąż gęstniejąca, staje się coraz zimniejszą i odór spalenizny ciała wciąż ciężej snuje się w powietrzu wieczornym.

Zapragnąłem jeszcze pozostać; zapragnąłem widzieć, jak ją złożą na stosie, tę młodą boginię; będzie to jednak długo trwało, zdaje się, a tymczasem ten muślin różowy pociąga samowładnie w sposób prawie do zawstydzenia; jest to prawie grzechem tak patrzeć na nią, gdy ona martwa. Nie! raczej więc powrócę za chwilę, gdy już będzie pora; a teraz płyńmy dalej!

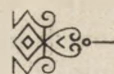
Cóż to za niestrudzony niszczyciel, ten Ganges! Tyle pałaców, w jego wodach pogrzebanych! Całe fasady oślizgnęły się, zapadły bez runięcia i stoją tak, do połowy zanurzone. I tyle świątyń! Te z nich na dole, które sąsiadują za blizko z rzeką, mają swe piramidy pochylone, jak wieża Pizańska, podkopane od dołu, bez ratunku. Te tylko na wysokościach, stosami granitów podparte, nagromadzeniami przybudówek wszystkich wieków, trzymają się prosto swemi wierzchołkami czerwonemi lub szpicami złotemi, w niebo strzelającemi, z których każdy otoczony wieńcem czarnych ptaków kołujących. I jaka w tym kraju ta piramida bramińska na wygląd tajemniczy, gdy się w niej rozpatrujesz szczegółowo! „Wielki cis cmentarny", jak to rzekłem, szukając porównania. Zblizka atoli jest dziwniejsza, niźli cisy: ma podobieństwo do pęka z miljona małych dzwoneczków, miljona małych, stale do siebie podobnych przedmiotów, których forma niezmienna, przez wieki uświęcona, nie przypomina nic zgoła z naszej architektury zachodniej.

(C. d. n.)





Najmłodszy wulkan.



(notatka z podróży).

Jedną z największych osobliwości gieologicznych Meksyku, a nawet całego Nowego Świata jest niezaprzeczenie Iorullo, wulkan nowożytny.

Spółcześni Indjanie znali starych ludzi, pamiętających czasy, kiedy miejsce dzisiejszego wulkanu zajmowała jeszcze równina. Utworzył się on w nocy 29 września r. 1759 na gruntach, należących do hacjendy San Pedro, jednej z największych i najbogatszych plantacji tego kraju.

Naoczni świadkowie tej wielkiej katastrofy opowiadali, że ze szczytów gór Aguasacra, gdzie się schronili z przerażenia, widzieli, jak się ziemia zajęła ogniem na przestrzeni przeszło pół mili kwadratowej; olbrzymie płomienie wydobywały się z ziemi, a jednocześnie mnóstwo rozżarzonych kamieni wylatywało na znaczną wysokość i spadało ognistym deszczem. Po przez gęste chmury popiołu i żużli, oświetlonych płomieniami wulkanicznemi, widać było wznoszącą się po nad dawny poziom równiny, niby morze wzburzone, rozmiękłą skorupę ziemi. W ten sposób uformowała się góra Iorullo. Rzeka San Pedro wyszła z brzegów i wpadła w ziejące ogniem szczeliny; pod wpływem gorąca woda rozłożyła się chemicznie na części składowe i podsyciła ogień płonącej równiny. Ziemia najeżyła się tysiącem wzgórków wulkanicznych czyli „hornitos" („hornito" zdrobniałe od „horno" piec): były to wulkany minjaturowe, ziejące słupami dymu.

Wielkie wybuchy środkowego wulkanu trwały do lutego r. 1760; w następnych latach zdarzały się coraz rzadziej. Indjanie, wystraszeni okropnym hukiem nowego wulkanu, poopuszczali wioski, leżące w promieniu siedmiu do ośmiu mil; powoli jednak przyzwyczaili się do tego strasznego widoku, powrócili do swych chat i zbliżyli się do gór Aguasacra i Santa Inez dla podziwiania ogni, wyrzucanych przez paszcze wulkanów różnych rozmiarów. Popiół spadał aż na dachy domów w Queretaro na odległości czterdziestu ośmiu mil*) w linji prostej. Humboldt słyszał od starych Indjan, że w kilka lat po pierwszym wybuchu równina Iorullo pozostawała niezamieszkaną na znacznej odległości od miejsca wybuchu, z powodu nadmiernego gorąca.

Miejscowe tradycje podają, że wybuch zapowiadał się na kilka miesięcy naprzód: właściciela haciendy San Pedro de Iorullo, don Jose'go Pimentel, ostrzegł, rządca, że w wąwozie Cuintumba słychać podziemne huki, zdające się pochodzić jakby od dużego potoku, i że w tym miejscu dawały się odczuwać lekkie trzęsienia ziemi. Pimentel na razie nie wzruszył się tym ostrzeżeniem, ale gdy o podobnych faktach donieśli mu Indjanie, pracujący w hacjendzie, chciał się osobiście przekonać o prawdzie wiadomości. W pierwszych więc dniach marca r. 1759 wyjechał z Patrenaro, gdzie podówczas bawił i natychmiast po przybyciu do San Pedro, udał się z kilkoma osobami do miejsca, skąd dawały się słyszeć podziemne huki; tam kazał rozkopywać ziemię w celu zużytkowania wody, która, jak przypuszczał, nurtuje pod powierzchnią; lecz zaledwie dokopano się do głębokości trzech metrów, okazało się że grunt tam był próżny i tworzył sklepienie na bardzo znacznej przestrzeni. Przerażeni tym odkryciem robotnicy nie mieli odwagi kopać dalej. W miesiąc potym nastąpiły coraz częstsze trzęsienia ziemi, jednocześnie powietrze napełniło się siarkowodorem. Pimentel uznał za stosowne zawiadomić o tych wypadkach władze w Patrenaro. Jezuita Ignacio Molina, najuczeńszy podówczas człowiek w kraju, wydelegowany został do zbadania miejscowości; po badaniach oświadczył, że pobyt w tych miejscach jest niebezpieczny i że jeśli trzęsienia ziemi dłużej trwać będą, należy się obawiać utworzenia szpary wulkanicznej. Zdanie uczonego jezuity wkrótce znalazło potwierdzenie w rzeczywistości. Trzęsienia ziemi poczęły się coraz bardziej wzmagać przez okres kilkomiesięczny aż do ostatecznego wybuchu, który nastąpił w nocy 29 września. Podług legiendy ludowej, podawanej przez Indjan z niezłomną wiarą, katastrofę tę spowodowało przekleństwo kilku cudzoziemców, którzy do tych miejsc przybyli w początkach roku, kiedy nastąpił wybuch; obrażeni złym przyjęciem, jakiego doznali, przeklęli te ziemie, należące do hacjendy San Pedro i przepowiedzieli to, co później nastąpiło.

Wulkan Iorullo leży o trzydzieści sześć mil od oceanu Spokojnego (19° 9′ półn. szer. 103° 51′ 48″ wsch. dług.) w tym pasie, w którym się wznoszą wszystkie góry Anahuak'u, przekraczające linję wiecznych śniegów. Uczony meksykański Juan Medal robi przypuszczenie, że kratery wulkanów Cutzarondiro, w okręgu Tacambaro, niemałą odgrywały rolę w powstaniu Iorullo, znajdują się one bowiem na tej samej linji wulkanicznej

*) Mila meksykańska równa się czterem naszym wiorstom.

co Popocatepetl, Nevado de Toluca, Pic Tancitaro i wulkan Colima. Wiadomo z miejscowych podań, że wulkany Cutzarondiro były czynne przed utworzeniem się Iorullo i zdaje się bardzo prawdopodobnym, że gdy ich kratery zatkały się, podziemne prądy szukały gdzieindziej ujścia i w ten sposób o piętnaście mil dalej powstał nowy wulkan.

Iorullo drzemie dziś, jak się zdaje, lecz wszystko wskazuje na to, że pewnego dnia się zbudzi. Wprawdzie wulkan oddawna zaprzestał wyrzucać popiół, żużle i dym, lecz huki podziemne są częste i dają się słyszeć aż do Ario. Zwłaszcza z nadejściem pory deszczów nastają trzęsienia ziemi. Zauważono, że w dni, w których atmosfera przesiąknięta jest wilgocią, na szczycie wulkanu tworzy się słup pary wodnej, który nieraz brano za dym, zwiastujący wybuch. Zjawisko to zachodzi pod wpływem promieniowania gorących prądów, wychodzących z łona krateru.

Gdy Aleksander Humboldt w r. 1803 zwiedzał te miejsca, wulkan wówczas liczył zaledwie pięćdziesiąt lat istnienia. Uczony stwierdził w *hornitos* temperaturę 93° C. W one czasy wszystkie te małe wzgórza były dymiącemi otworami; dziś te *hornitos* przestały dymić, lecz, jak się zdaje, temperatura ich wzmogła się w ostatnich czasach.

(D. n.) *J. N.*



Rozwój handlu wszechświatowego i stosunek jego do odkryć naukowych w wieku XIX.[1])

Historja nas uczy, że od najdawniejszych czasów handel był jednym z głównych czynników rozwoju narodów cywilizowanych. Znaczenie handlu wzrosło w czasach teraźniejszych, tak że obecnie wielkie narody opierają politykę zagraniczną na swoich potrzebach ekonomicznych.

Czy zmieniło się cokolwiek w położeniu ekonomicznym świata na początku XX stulecia? I jeżeli tak jest, na czym polega ta przemiana i w jakiej mierze związana jest z postępem nauki.

Badając położenie handlowe starej Europy na początku wieku XIX, zwłaszcza po kongresie wiedeńskim w r. 1815, widzimy na targowisku światowym tylko cztery narody: Wielką Brytanję, Francję, Holandję i Hiszpanję: pierwsza, królowa mórz, władczyni państwa kolonjalnego, powiększonego zdobyczami, dokonanemi na Francji i narodach, ujarzmionych przez Napoleona; Francja, osłabiona wysiłkiem nadmiernym i zbyt przedłużonym, doprowadzona do posiadania bardzo małej ilości kolonji, nie mających znaczenia; Holandja, wraz z Belgją, wyczerpane związkiem z Francją, lecz gotowe do eksploatowania bogatych swoich kolonji; wreszcie Hiszpanja—zrujnowana właścicielka jeszcze olbrzymich posiadłości kolonjalnych w Ameryce, ale niezdolna do utrzymania władzy w tych posiadłościach.

Handel tych czterech państw zachował cechy odwieczne i głównym jego celem był import przedmiotów drogich, jak: korzenie, kawa, cukier, z Indji Wschodnich. Eksport produktów miejscowych stał na drugim planie, tak że zaledwie dwa z powyżej wymienionych państw, Francja i Wielka Brytanja, pochwalić się mogły przemysłem wywozowym.

W owym czasie żaden naród nie dążył do panowania na targowisku wszechświatowym; zamknięte u siebie, chronione granicami celnemi, narody ograniczały się do spożywania własnych płodów rolnych i przemysłowych, żądając od sąsiadów jedynie tych, których nie miały—i to żądając w niezbędnej ilości. Brak dróg komunikacyjnych lub drogi źle utrzymane, poprzecinane komorami, podtrzymywały to odosobnienie.

W podobnych warunkach nie mogły istnieć ani wielkie przedsięwzięcia handlowe, ani rywalizacje międzynarodowe; przygotowywała się jednak ewolucja, mająca przeobrazić systemy handlowe w Europie.

Hasło tego przeobrażenia dała Anglja, kiedy, znosząc opłaty celne, najpierw od zboża,

[1]) Podług artykułu Marcela Bichon w *Revue Générale des Sciences.*

a póżniej od towarów, potrzebnych do wyżywienia ludności i do produkcji przemysłowej, skierowała kraj na nowe tory, poświęcając rolnictwo przemysłowi. Przemysł, zaopatrzony bogato w materjały wyborowe, importowane otwarcie, rozwinął się wspaniale, dochodząc szybko do nadprodukcji. Należało pomyśleć o zdwojeniu dróg ujścia w innych krajach cywilizowanych. Tysiące przyczyn stawało na przeszkodzie powodzeniu tych usiłowań, głównie zaś granice celne, zamykające inne państwa, i niemoc, w jaką popadł handel europejski.

Przeszkody te miały wkrótce upaść; niezadługo Francja przyszła w pomoc Anglji, dążąc do wolności handlowej i zaprowadzając system wymiany, godzący wszelkie interesy; nie przyjęła bezwzględnej wolnej wymiany, postanowiła jednak formę pośrednią, do której należy protekcjonizm. Traktat handlowy angielsko-francuski z roku 1860, łączący na dziesięć lat interesy handlowe obydwu potęg, przodujących w świecie handlowym, zainaugurował system ekonomiczny, do dziś dnia obowiązujący w Europie i w całym świecie cywilizonym; w dalszym ciągu rozmnożyły się traktaty handlowe o terminach określonych, kierujące jeszcze obecnie stosunkami handlowemi wszystkich narodów.

Bezwzględnie wolna wymiana, podług doktryny szkoły Manchesterskiej, spowodowała w połowie wieku fortunę Wielkiej Brytanji; Francja, ogólnie biorąc, zyskała bardzo na traktatach handlowych; wszystkie jednak te przeobrażenia systemu ekonomicznego nie byłyby dały obecnego znaczenia handlowi narodów europejskich, gdyby działalność tych narodów nie miała bodźca w innych czynnikach, natury bardziej ogólnej, czynnikach, które rozbudziły życie ekonomiczne nietylko w Anglji i we Francji, lecz i w krajach, spółzawodniczących później z niemi, szczególniej w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Te ostatnie, będąc aż do roku 1895 narodem importującym, zaczęły dążyć do eksportu, a obecnie starają się zdobyć pierwszorzędne miejsce na targowikach nietylko Dalekiego Wschodu, ale także Europy.

W końcu wieku XIX mamy cztery państwa, nazywające się dostawcami świata: Anglję, Francję, Niemcy i Stany Zjednoczone; za ich przykładem inne państwa europejskie głównie: Rosja, Belgja, Holandja i Włochy, dążą do rozwoju przemysłowo-handlowego.

Rozmnożenie spółzawodników jest faktem nowym w dziejach ekonomicznych; tysiące przyczyn je wywołało, przedewszystkim zaś następujące: polepszenie dróg transportu, szybkość komunikacji, niesłychany rozwój instytucji kredytowych, nadprodukcja przemysłowa, wypływająca z podziału pracy i z udoskonalenia mechaniki, wreszcie powiększenie nadmierne miejsc zbytu, wskutek zdobyczy kolonjalnych Europy i usiłowania jej zagarnięcia krajów Dalekiego Wschodu.

Ażeby dać pojęcie o kolosalnym rozwoju kolei żelaznych w ostatnich trzydziestu latach, wystarczy przypomnieć, że ogół sieci kolejowych w całym świecie z 206.651 kilometrów w r. 1870, podniósł się do 790.592 kilometów w r. 1900.

Niektóre z tych linji kolejowych przecinają całe kontynenty, jak np. pięć linji transkontynentalnych amerykańskich, kolej syberyjska, tworząca drogę handlową, 10.680 kilometrów długą, z Petersburga do Władywostoku, kolej wschodnio-chińska, łącząca, przy pomocy syberyjskiej, Europę z krainami południowo-wschodniemi Azji, pozwalająca w 18 dni przebyć przestrzeń z Paryża do Szanghaju.

Dzięki wydatkowi 200 miljardów, świat pokryty jest dzisiaj olbrzymią siecią kolejową; szybkość pociągów wzrasta stale, tak że na kontynencie starej Europy *expressy* przebiegają dzisiaj 100 kilometrów na godzinę, poruszane lokomotywami o sile 1600 i 1800 koni.

W stosunku analogicznym rozwinęła się żegluga parowa: flota handlowa narodów cywilizowanych, przedstawiająca 2.400.000 tonn w roku 1850, dosięgła w r. 1900, 22 miljonów tonn. Nowoczesna flota handlowa przedstawia wartość 15 miljardów franków; wielkie Towarzystwa żeglugi morskiej oddają na usługi handlu, po cenach bardzo nizkich, statki trasportowe takiego ogromu, jak *Celtic*, obejmujący 29.080 tonn i kosztujący 15 miljonów franków — albo też okręty pospieszne, jak *Deutschland*, który w ciągu 5 dni przebył przestrzeń z Nowego Jorku do Anglji, na co poprzednio było potrzeba 25 dni. Towarzystwa niemieckie, angielskie, francuskie, amerykańskie, belgijskie, rywalizują w dostarczaniu podróżnym i kupcom okrętów, coraz wygodniejszych i coraz pospieszniejszych.

Przestrzenie tymsamym zmniejszają się, wskutek przemian, jakie sztuka inżynierska zaprowadza na powierzchni globu; weźmy przekopanie międzymorza Suezkiego, przekopanie miedzymorza Korynckiego, budowę kanału kilońskiego, kanału między Liverpoolem a Manchesterem, pracę około niesłychanej wagi kanału panamskiego, który w niespełna lat dwanaście pozwoli okrętom zaoszczędzić około 10.000 kilometrów drogi między Europą a San-Francisko. Co do dróg lądowych, wystarczy

przypomnieć niezliczone tunele, śród których pierwsze miejsce zajmują alpejskie.

Równomiernie z rozwojem komunikacji lądowych i morskich, rozszerzała się w świecie sieć połączeń telegraficznych, licząca dzisiaj 300.000 kilometrów linji podmorskich i około 1 miljona 200.000 kilometrów linji lądowych; prawdopodobnie wkrótce handel zastosuje telegraf bez drutu, przy pomocy którego podają morzem dziesięć pięcioliterowych wyrazów w ciągu minuty na odległości 300 kilometrów.

Ważnym bardzo wynalazkiem, zwiększającym ruch komunikacji elektrycznych, był wynalazek telefonu, który, udoskonalony, przenosi głos czysto na przestrzeni 1500 kilometrów. Obliczono, że długość linji telefonicznych wynosi około 700.000 kilometrów.

(D. n.) *Wł. Z.*

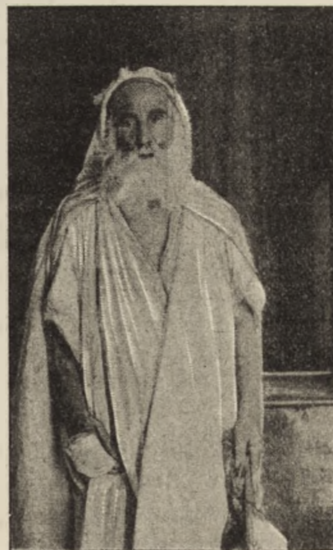


 Oaza Bu-Saada. 

Około VI-go wieku Hegiry—powiada legienda arabska—pewien szeryf, nazwiskiem Sliman ben Rabia, pochodzący z Sagit El Hamra w Marebie, rozłożył się obozem u stóp Dżebel Messaadu w Ajun Defla. Wkrótce potym przyłączył się do niego „taleb" (mędrzec) nazwiskiem Si Tamer, który odbył studja naukowe w „zauiach" (klasztorach) i „medersach" (szkołach) Fezu. Si Tamer zatrzymał się przy ciosanych skałach, pozostałościach starożytnych budowli nazareckich, a olśniony urokiem rzeki i przezroczem wody źródlanej, odpędził szakale, gnieżdżące się w trzcinach i z pomocą ludzi Si Slimana wypalił cegły i zbudował dom, w którym poświęcił się kontemplacji i badaniom ksiąg wiedzy. Koczownicy Uled Madhi, oraz Uled Nail odwiedzali świętego człowieka, którego uczoność i sprawiedliwość zasłynęła wkrótce aż do Msila i dalej. Młodzieńcy, żądni korzystania z nauk Si Tamera, zgromadzili się dokoła niego i pobudowali sobie mieszkania, które utworzyły jądro miasta. Bedernowie ustąpili swe prawa do okolicznych gruntów kosztem 45 wielbłądów.

W chwili, gdy meczet był na ukończeniu, Si Sliman i Si Tamer naradzali się z sobą, jaką dać nazwę nowopowstającemu miastu. Długo nie mogli się zdecydować, gdy wtym przechodząca murzynka poczęła wołać na psa swego; „Saada, Saada!" (szczęśliwa). Wydało się to obu założycielom dobrą wróżbą i odtąd oaza, w której powstało nowe miasto, otrzymała nazwę Bu Saada (miejsce szczęścia).

Prawdę mówiąc, przypadek mógłby był gorzej zrządzić; podróżny więc gotów jest podpisać się pod tą pochlebną nazwą, gdy po długich godzinach we dnie i w nocy, spędzonych w nędznym koczobryku, z trudem ciągnionym po ścieżkach arabskich, przez dwie lub trzy szkapy, nagle oaza roztacza przed jego zachwyconemi oczyma kojący spokój 900 palm i wdzięk uśmiechnięty wód ożywczych.



Żyd bu-saadzki.

Takim było wrażenie, jakie odczułem pewnej nocy kwietniowej—opowiada podróżnik francuski A. Vigerie — wjeżdżając do Bu Saada dyliżansem z Aumale; od dwudziestu nużących godzin nędzna ta kolasa z płaczliwym jękiem przy każdym wyboju toczyła się śród dzikiego krajobrazu, o posępnej jednostaj-

ności, usłanego bez przerwy piaszczystą, nieuprawną pustynią, spieczoną od słońca, tu i owdzie przerywaną ostremi pagórkami. Jakby na domiar złego jedna z tych strasznych burz, jakie się często zdarzają w tych stronach, zaskoczyła nas z nadejściem nocy. Ze wszystkich stron widnokręgu wystrzelały siwawe błyskawice, oświetlając ponure obrazy opustoszonych stepów; noc zdawała się coraz ciemniejszą, a każdy obrót koła naszej kolasy, zagłębiał nas coraz dalej jakby w czarną otchłań nicości.

Zmęczony, zgnębiony palącym podmuchem sirokko, wcisnąłem się w głąb dyliżansu; gdy otworzyłem oczy, zdawało mi się, że się budzę z jakiegoś snu przykrego: popędzane batem koniki mknęły żwawo po nieco pochyłej drodze, po której powóz toczył się bez wysiłku. Nie pozostało ani śladu burzy; mirjady gwiazd migotały niezrównanym blaskiem, jakim świecą zwykle pod tą szerokością w ostatnich godzinach nocy. Ze świeżym wietrzykiem dolatywał do mnie szelest drzew palmowych, szmer srebrzystych wód bieżących, pianie kogutów, oddalone szczekania, tysiączne dźwięki miasta, we śnie pogrążonego, którego białe tarasy jaśniały bezładnie i uśmiechały się do nas śród ciemności nocy.

Dla podróżnika wrażenie to potęguje niespodzianka: oaza, położona zaledwie o 250 kilometrów od brzegu morza, na zachodnich krańcach, Hodna. Ze względu na położenie gieograficzne należy ona do wyższych płaskowzgórzy, w istocie jednak jest to zabłąkany w tych stronach kącik Sahary.

Istotnie, wszystko jest tu po saharsku, dzięki osobliwemu rozkładowi topograficznemu: dwa wysokie pagórki jurskie, nagie i spadziste, Kerdada i Batenn wznoszą się prawie równolegle od południowego zachodu ku północnemu wschodowi, tworząc wązką dolinę; ued



Wnętrza mieszkań żydowskich w Bu-Saadzie.

(potok) płynie w głębi, a ksar (osada) rozłożył się na jego lewym brzegu. Położenie tych dwóch wysokich wzgórzy, zamykających wązkie przejście, otwarte dla sirokka, wzmacnia promieniowanie słońca na powierzchni i tak, już rozpalonej, wskutek piaszczystych diun, pokrywających części wschodnią i północną oazy. Z tego powodu oaza staje się latem prawdziwym piecem: przez cztery miesiące temperatura dzienna nie spada poniżej 38° w cieniu, a dochodzi nader często do 44°; noce są wprost dławiące. Zima natomiast odznacza się niezwykłą łagodnością, a śnieg zdarza się tylko wyjątkowo.

Deszcze padają niezmiernie rzadko i zjawiają się pod postacią obfitych, lecz bardzo krótkotrwałych ulew: wówczas ued zamienia się na kilka chwil w prawdziwy strumień, toczący gwałtownie swe żółtawe wody; w zwyczajnej porze jest to cienka żyłka przezroczej wody, kapryśnie płynącej po łożysku kamyków, śród skał rozsianych.

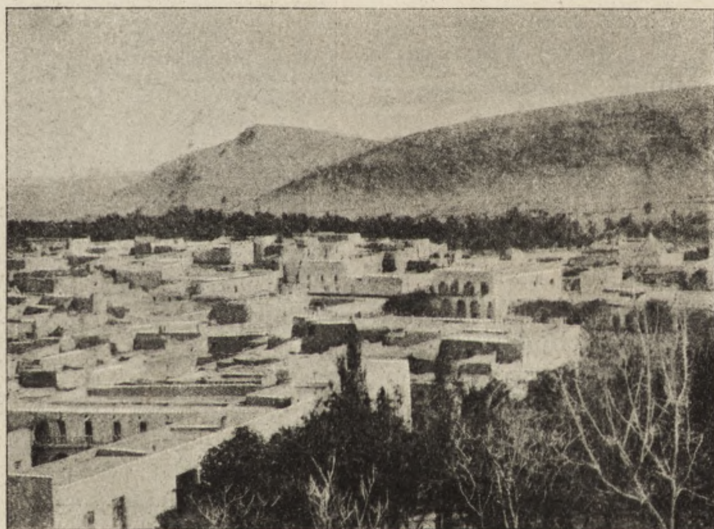
Wszelka zieloność więdnie na jej brzegach; rozrosłe w drzewa róże laurowe, krzaki mastyków, tamaryszków, karłowate i olbrzymie palmy z bardzo skromnemi owocami, kaktusy, figi berberyjskie, morele, pieprz czerwony, wszystko to rośnie i rozwija się tam tylko,

gdzie spieczona ziemia może się napoić odrobiną wody. Każde źródło stroi się w bukiet zieleni; gdzie go niema, wszelka roślinność marnieje i ginie, oprócz alfy i jałowca, co tu i owdzie kępkami obsiały nagie pagórki, obfitujące w żmije, które się roją w poblizkich miastu i oazie ławach piaskowych. *)

Można mieć pojęcie o ich obfitości z tego, że kredyt 500 franków, przeznaczony rocznie na tępienie żmij, w kilka miesięcy zostaje wyczerpany, nieraz nawet przed upływem lata; norma zaś nagrody za głowę żmii waha się między 15 a 30 centymami!

Szczególnie podczas gorącej pory roku zyskownym jest polowanie na żmije. Jest to rodzaj sportu, nawet przemysłu, na który monopol zagarnął w swe ręce jeden z krajowców. Ciekawy to typ ów Mohamed ben Saad, z ogromnemi ustami mięsożercy, w których sterczą — *rari nantes in gurgite vasto* — dwa kły, jak u dzika; zdobi go krótka krzaczasta broda i małe oczki, świecące i ruchliwe. Trzeba go widzieć przy spełnianiu delikatnych obowiązków tępiciela żmij, gdy z powagą przynosi „beglikowi" zdobycze polowania; wtedy podziwiać wypada flegmę, z jaką metodycznie wypróżnia koźlą skórę, napełnioną tym łupem, oraz zadowolenie, z jakim małemi swemi wiewiórczemi oczyma pożera ruchomy stos gadów!

Żmije bywają przynoszone żywcem i tępione dopiero na placu, publicznie, w obecności przedstawiciela władzy. Niekiedy przynoszą po 300 i więcej sztuk naraz. Małe osobniki rozgniatają w najzwyklejszy sposób, dla większych okazów używają nikotyny, która wywiera na nie skutek, istotnie piorunujący. Wówczas zręczność Ben Saada staje się prawdziwym popisem: schwyciwszy gada delikatnie za głowę wielkim i wskazującym palcem, wkłada mu do pyszczka na końcu noża trochę włókien tytuniu; żmija, po kilku ruchach konwulsyjnych, pada natychmiast nieżywa. Co za przestroga dla naszych palaczy!



Widok miasta Bu-Saada.

Przyroda dała rogatej żmii strasznego wroga w postaci „urana", olbrzymiej, żółtawej jaszczurki, grubości ręki i stosownej długości. Węże znajdują w nim przeciwnika tym poważniejszego, że posiada on bardzo mało miejsc, podatnych do zranienia, będąc pokryty rodzajem łuskowatego pancerza; to też w dziwnych walkach tych dwu nieprzyjaciół, jakie się tu odbywają, uran prawie zawsze zwycięża.

Widowisko to nie jest rzadkością w Bu-Saada i zasługuje na opis. Polem walki bywa najczęściej grunt podwórza, przestrzeni kilku stóp kwadratowych. Jak uscenizowanie, tak i akcja bywa bardzo mało urozmaicona, a rozwiązanie zgóry przewidziane. Poczciwy Mohamed ben Saad z wrodzoną swą flegmą kieruje zwykle przebiegiem walki, po wyjęciu ze skór koźlich żmii i urana, który dla ostrożności uwiązany jest na długim sznurku. Nie należy sądzić, by dwaj nieprzyjaciele, znalazszy się wobec siebie, mieli odrazu z całą zaciekłością

*) Żmija Bu-Saadzka należy do odmiany, zwanej „rogatą", z powodu dwu małych bocznych wyrostków na trójgraniastej głowie.

rzucać się jeden na drugiego. Przeciwnie, zdają się mało troszczyć o załatwienie dawnych rachunków wobec publiczności: podczas gdy żmija umyka szybko w jedną stronę, uran bez ceremonji odwraca się do niej plecami i, usiłując zerwać krępujący go sznurek, z otwartym pyskiem szuka wyjścia, w niepokojący sposób zagrażając nogom widzów. Lecz prolog ten trwa krótko. Doprowadzony do wściekłości swoją bezwładnością i skierowany znów na przeciwnika, uran rzuca się na niego, z szybkością błyskawicy, chwyta żmiję, starając się ją zmiażdżyć w potężnej swej paszczy. Wówczas dzieje się coś ciekawego: gdy uran konwulsyjnie zaciska zęby, zamykając wyjście swej zdobyczy, ta, wijąc się na wszystkie strony, stara się instynktowo dosięgnąć czułego miejsca wroga, punktu, nie okrytego pancerzem np. kątów paszczy, oczu. Rzadko jej się to udaje. Gdy uran, zmęczony czasem, otworzy paszczę, żmija ma już najczęściej kręgosłup strzaskany lub inne nie mniej znaczne uszkodzenie.

Jeśli żmija rzadko się pokazuje w samym mieście Bu-Saada, nie da się tego powiedzieć o skorpjonie, nieprzyjemnym, a nieraz i najniebezpieczniejszym gościu. Czarna odmiana, uchodząca za najstraszniejszą, jest na szczęście najmniej liczną; natomiast skorpjon żółty znajduje się w obfitości; często dochodzi do dużych rozmiarów, nawet do 12 centymetrów. W niektórych domach jest ich zatrzęsienie, a ukąszenia tych owadów nie zawsze uchodzą bezkarnie; co rok bywa kilka wypadków śmierci z tego powodu.

Ludność oazy jest rozmaitego pochodzenia. Ostatni spis wykazał 5595 mieszkańców, z nich 130 Francuzów, 357 Izraelitów naturalizowanych, 5020 Arabów, Kabylów, Mzabitów, jako należących do Francji, i 88 cudzoziemców. Po za Europejczykami, śród których przeważa żywioł włoski i maltański, ludność składa się z Arabów i Mzabitów, przeważnie potomków Si Slimana i Si Tamera, lub różnych odłamków plemienia arabskiego, które powoli przyłączyły się do tych dwu założycieli miasta. Każdy z nich wybrał sobie szmat ziemi, pobudował na nim meczet i zgrupował się dokoła niego. Podział ten istnieje dotychczas, lecz typ miejscowy ujednostajnił się z czasem, wskutek nieuniknionych krzyżowań: Bu-Saadczyk jest wysoki, dobrze zbudowany i zdrowotności oazy zawdzięcza pewną siłę fizyczną, którą nieuleczalne lenistwo pozostawia niestety odłogiem. Dzieci jest mnóstwo: na każdym rogu ulicy, w każdym słonecznym zakątku uśmiechają się zabawne buzie, misternie na niebiesko tatuowane; dziewczęta, nie będąc ładne, posiadają jakiś nieokreślony wrodzony wdzięk, nadto elegancję ruchów i postawy, co sprawia, że niektóre, z nich, prawie nagie pod czerwonemi łachmanami, z których zwiesza się ubogi *haik*, zamiatający ziemię za niemi, wyglądają niby małe księżniczki z pantominy, z powagą noszące płaszcz uroczysty.

Pewnego dnia, gdym się przechadzał z jednym ze znajomych, na rogu placu, skąpanego w słońcu, uderzył mnie nagle niespodziewany widok tuzina siedzących dziewczynek, skulonych, ubranych we wszystkie kolory tęczy, tworzące niby wieniec polnych kwiatów. Małemi



Dziewczęta arabskie przy fontannie.

rączętami uderzały w dłonie rytmicznie, w takt jakiejś naiwnej piosenki. W środku drobniutka Naila z powagą wprawiała się w taniec brzucha... Ruch zdziwienia, jaki mimowoli uczyniliśmy, zwrócił ku nam wszystkie te błyszczące źrenice i wtedy powstał popłoch śród wszystkich tych pstrych haików, które rzuciły się do ucieczki z salwami serdecznego śmiechu... Szczęśliwy wiek bez trosk i zmartwień! Gdzież są dzisiaj tę małe ptaszęta o świecących i uśmiechniętych oczkach? W klatce zapewne. Żegnajcie piękne przechadzki, wesołe wycieczki, na ktorych upajano się słońcem i błękitem nieba! W dwunastym roku dziewczę arabskie, dojrzałe do niewoli, rozpoczyna życie samotne.

w zamknięciu, i czeka z rezygnacją, rychło los wybierze jej pana, poczym, zazdrośnie ukryta przed wzrokiem ludzkim, albo w ciemnym ustroniu ślęczy nad jaką podrzędną robotą, lub osłonięta gęstym welonem przesuwa się nieznacznie przez ulice miasta.

Zupełnie innym jest życie żydówek; młode czy stare, po za pracą około gospodarstwa, zdają się nie mieć innego zajęcia nad rajcowanie, głośne i nieskończone, na progach domów. Twarz, na której żadne tatuowanie nie podnosi delikatności cery, nieco bladawej, zawsze jest odkryta, otoczona puklami włosów, cekinami, „rękami Fatmy”, całą masą paciorków i pereł świecących i potrącających się przy lada poruszeniu. Czarny, piętrzący się zawój okrywa głowę. Jako odzież noszą udrapowane w „mehlafę” (tunikę) lekkie tkaniny różowego koloru, lub wełny, o szerokich czerwonych i białych prążkach, materjał powszechny w Bu-Saada. Niewiele jest takich, które przyjęły strój europejski; estetyka nic na tym nie traci; a jednak emancypantki te zachowują zawsze jakiś klejnocik, jakiś drobiazg dodatkowy, przypominający modę krajową: naszyjnik z monet, ciężkie bransolety srebrne, lub chustkę o żywych barwach, niedbale zawiązaną na głowie.

(D. n.)





ROZMAITOSCI.

Wonzan. Opuściwszy Fuzan, płynęliśmy przy pomocy żagli do przylądka Duroch, skąd z powodu ciszy morskiej dalszą podróż odbyliśmy przy pomocy maszyny parowej. Wpłynąwszy wieczorem do zatogi Brougton, nazajutrz rano przybyliśmy do Genzanu, zarzucając kotwicę między osadą japońską a wysepką Chotokai.

Wonzan, jeżeli przyjmiemy nazwę koreańską; Yenzan—jeżeli chińską, a wreszcie Genzan, jeżeli użyjemy nazwy japońskiej, leży na północno-wschodnim wybrzeżu półwyspu koreańskiego w południowym kącie Ham-Kiung.

Podobnie jak w Fuzanie, mają i tu Japończycy osobną osadę, w której koncentruje się cały ruch handlowy. Atoli podczas gdy w Fuzanie osada ta pod względem zaludnienia równa się miastu koreańskiemu, to japoński Genzan składa się zaledwie z 50 domów, podczas gdy miasto koreańskie liczy ich 1500 z 18000 mieszkańców. Środek osady japońskiej zajmuje urząd cłowy, który obok ładnego budynku konsulatu japońskiego jest najokazalszym gmachem. Osada japońska, jakkolwiek nieliczna, posiada szkołę, szpitalik, różne urządzenia handlowe, jak: bank, izbę handlową, kilka agientur i t. p. Znajduje się tu też agiencja tow. żeglugi *Nipon Yuezen Kajsza*, której parowce kursują stale między Nagasaki a Władywostokiem.

Miasto koreańskie, oddalone o 2 km. od japońskiego, składa się jak w ogóle wszystkie osady koreańskie z nędznych lepianek. Jedyny, okazalszy, a właściwie rozmiarami swemi większy budynek jest to mieszkanie gubernatora. Pojedyńczo stojące domy obwieszone są dokoła słomianemi matami, które, będąc w stanie na wpół zgniłym, nadają całej osadzie nader nędzny widok. Tylko jedna nieco szersza ulica (3—3½ m.) prowadzi przez całą długość miasta, reszta domów oddzielona jest uliczkami, tak wązkiemi, że zaledwie przejść niemi można. Ponieważ o kanalizacji mowy nie ma, a odpadki i nieczystości wszelkiego rodzaju wyrzucane bywają na ulicę, stanowią uliczki te podczas deszczu rodzaj kanałów odpływowych, łatwo więc sobie wyobrazić, jaki widok przedstawiają dla Europejczyka, zmuszonego przechodzić niemi. Domy, leżące przy głównej ulicy, nie są ogrodzone, a mieszczące się w nich sklepy obfitują w różne krajowe produkty i wyroby. Dwie czy trzy studnie, na które natrafiliśmy, były straszliwie zanieczyszczone, a jedynie możliwej do picia wody dostarcza przepływający obok miasta strumyk. Łatwo zrozumieć, że przy takim niechlujstwie, choroby panują tu nagminnie. Choroby zakaźne są tu tak rozpowszechnione, że nie zważają już na nie. Do rozpowszechnienia tych chorób przyczyniają się objeżdżające kraj liczne trupy aktorek i tancerek, włóczących się z miejsca na miejsce.

W ubraniu, jak i w zwyczajach, ludność Korei jest nadzwyczaj niechlujną. Używanie kąpieli jest tu nieznanym zupełnie zbytkiem, a jeżeli kto w lecie się kąpie, to nie czyni tego dla czystości, ale jedynie dla ochłodzenia się. Nie znając zupełnie potrzeby utrzymania ciała w czystości, mieszkańcy przedstawiają wstrętny widok. Kobiety i dorosłe dziewczęta, należące nawet do klas zamożniejszych, trzymane bywają w ścisłym odosobnieniu, nie wychodząc prawie nigdy z domu. Wskutek takiego życia są one przeważnie bardzo nerwowe i chorowite. Dzieci mają wygląd mizerny i są przeważnie skrofuliczne.

Pożywienie Koreańczyka składa się z ryżu i fasoli. Tylko zamożniejsi jedzą wiele mięsa psiego, drobiu i ryb. Wogóle jedzą dużo i łakomie, co wywołuje wiele chorób. To też dyspepsja i kolki należą do chorób, często spotykanych. Sztuka lekarska stoi w Korei bardzo nizko, niżej, aniżeli w Chinach. Korzeń wzmacniający *(panax Ginseng)* jest uniwersalnym środkiem leczniczym na wszystkie choroby.

Okolica Genzanu posiada grunt nader urodzajny i jest rzeczą pewną, że przy racjonalnej gospodarce możnaby osiągnąć świetne rezultaty. Dalsza okolica obfituje w liczne minerały i kruszce jak: żelazo, miedź, srebro i złoto. Wprawdzie złoto koreańskie jest mniej czyste od złota chińskiego, jednakże ilość kruszcu, obecnie wydobywanego jest wcale znaczna. Najwięcej złota wydobywa się w odległości 30 mil ang. od Genzanu, w okolicy, zaliczającej się do najbardziej złotodajnej na kuli ziemskiej, Nic więc dziwnego, że zarówno Rosja jak i Japonja starają się zagarnąć dla siebie półwysep Koreański. Sposób wydobywania złota odbywa się bardzo prymitywnie. Większa jego część przechodzi do mennicy japońskiej w Osaka, resztę transportują do stolicy kraju.

Podczas gdy Koreańczycy trudnią się przeważnie rękodziełami, do których zaliczyć wypada w pierwszym rzędzie kapelusznictwo, cały handel spoczywa w ręku Japończyków. Głównemi artykułami wywozu są: skóry, rośliny strączkowe, miedź, złoto, kokony jedwabnika, jedwab surowy, ryby, ryż, proso i futra. Importują zaś wyroby bawełniane i wełniane, farby, zapałki, artykuły gumowe i t. p. Wyrabiany w Korei jedwab t. zw. *szechuen* jest gorszego gatunku, a przyczyna tego leży w tym, że jedwabniki nie bywają hodowane na liściach morwowych, ale na pewnego gatunku dębinie. Tylko w miasteczku An-wing (w pobliżu Genzazanu) hodują jedwabniki na morwach, stąd też pochodzi przedni jedwab.

Ogólna wartość towarów importowanych w Genzanie w r. 1897 wynosiła 780000, zaś eksportowanych 940000 dolarów. W tym okresie czasu, zawinęło do portu 108 okrętów, w czym 48 parowców: wszystkie parowce, z wyjątkiem dwu niemieckich i czterech rosyjskich, były japońskie.

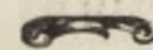
Następnego dnia po przybyciu do Genzanu złożył komendant „Nautilusa" oficjalną wizytę naczelnikowi miasta koreańskiego. Ponieważ mieszkanie tego dygnitarza było oddalone o godzinę drogi od wybrzeża, obok którego „Nautilus" stał na kotwicy, udał się komendant z towarzyszącą mu świtą konno w drogę. Zsiadszy z koni obok muru, otaczającego dom naczelnika, weszliśmy na podwórze, które na nasze przyjęcie było czysto wymiecione. Na progu domu oczekiwał nas *Di-ho-cza* (naczelnik) zapraszając do wnętrza. Wielka sala, do której weszliśmy, obita była jedwabnemi gobelinami, podłoga wyłożona ładnemi matami. *Di-ho-cza*, który prawdopodobnie po raz pierwszy w swym życiu usłyszał o istnieniu Austrji, zdziwił się wielce, słysząc, że parowce austrjackiego Lloyda kursują aż do Japonji Zresztą rozmowa, prowadzona przy pomocy tłomacza, miała charakter dziecinno-naiwny. Zabawiwszy około pół godziny, w ciągu której podano nam herbatę i papierosy, pożegnaliśmy się z tym dostojnikiem.

Następnego dnia *Di-ho-cza* rewizytował komendanta okrętu.

Wysłani naprzód dygnitarze, wręczyli kapitanowi długie pismo, które, jak to później dowiedzieliśmy się, było urzędowym dokumentem o darowaniu prezentów ze skarbu państwa. Widocznie jednak skarb państwa był pusty, gdyż podaruuki te składały się z 5 kg mięsa wołowego 5 kur i 100 jaj. Celem odwzajemnienia się za te dowody stosunków przyjacielskich, posłał komendant naczelnikowi wino, rum i likiery. Przybyły na pokład *Di-ho-cza*, został przywitany w sposób przyjęty dla oficerów sztabowych. Naturalnie, że komendant oczekiwał tak zacnego gościa przy wejściu na pokład Ponieważ *Di-ho-cza* ze swą świtą zwiedzali okręt dokładnie, a nadto spijali podane im trunki, przeto wizyta ta przeciągnęła się dość długo, aż wreszcie około południa opuścili statek w różowych humorach.

Po odejściu podnieśliśmy kotwicę, a opuściwszy Genzan, skierowaliśmy się na północ, do wyspy Sachin.

Stanisław Bobelak.



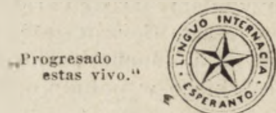
Miasta zdrowia. W Anglji utworzyły się związki, mające na celu zakładanie miast dla ludności roboczej i ubogiej, w miejscowościach zdrowotnych tak by każdy dom otoczony był ogrodem; a ludność nie gromadziła się w znaczniejszej ilości pod jednym dachem, jak to ma miejsce obecnie w wielkich środowiskach ruchu przemysłowego. Jedno z takich towarzystw, zamierza właśnie urzeczywistnić ten idealny projekt; nabywając znaczniejszej rozległości majątek, w celu założenia w nim miasta, gdzie ludność robocza (rękodzielnicy), mogłaby mieszkać w warunkach zdrowotnych, zajmując się jednocześnie swojem rzemiosłem. Ponieważ jednak ruch rękodzielniczy koncentruje się obecnie przeważnie w Londynie i większych miastach, towarzystwo przeto zamierza zaproponować większym właścicielom zakładów rękodzielniczych Londynu przeniesienie tych zakładów do nowo zakładanego miasta. Obliczono, że około 600,000 ludzi mogłoby w ten sposób przesiedlić się do nowego „miasta zdrowia".

„Przemysłowiec".



Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo."



„Restado estas morto."

(Ciąg dalszy).

Rubryki Esperantyczne w Czasopismach obcych (dokończenie).—**1903:** W drugiej połowie roku 1903 pułkownik Moretti drukuje nieustannie pełne zapału artykuły o idei esperantycznej w czasopiśmie **l'Est Républicain**, wydawanym w Nancy, a p. Edward Brćon rozpoczyna drukować w **Echo de Vincennes** stałe swe *Kroniki Esperantyczne;* specjalny zaś miesięcznik naukowy: **Annales de Mathématiques** (Paris, Gautier-Villars) w sierpniowym swym n-rze, z tegoż roku 1903, zawiadamia czytelników, że odtąd drukować będzie stale i artykuły

w języku Esperanto. W sierpniu również roku 1903 czasopismo esperantyczne: *„Lingvo Internacia"* zawiadamia, iż piękny, paryski przegląd: **Asia** (wydawcy: Molteroz i Martinet) drukuje stale objaśnienia swych ilustracji w języku Esperanto. Od listopada, tegoż roku, literat islandzki p. Thorstein Thorsteinsson, rozpoczyna drukować stale swe artykuły o języku Esperanto w czasopiśmie, wychodzącym w stolicy Islandji—mieście Reykjawik. Dokładnego jednak tytułu tego pisma nie jesteśmy w stanie podać. Źródła bowiem, z których czerpiemy tę notatkę nazywają je sprzecznie: **„Pfjodsolfur"**, **„Thjodsolfur"** i **„Thjodolfur"**.. Od listopada również roku 1903, redaktor i wydawca tygodnika: **Naokoło Świata**, Antoni Orłowski, pierwszy z redaktorów warszawskich, drukuje stale *Kronikę Esperantyczną* Aleks. Bolesł. Brzostowskiego. Jednocześnie też z rozpoczęciem wspomnianej *Kroniki* w „Naokoło Świata", ilustrowane czasopismo czeskie **Epocha** ogłasza w listopadowym n-rze „Eperantysty Czeskiego", iż otwiera odtąd w każdym swym n-rze stałą rubrykę esperantyczną. Od grudnia tegoż roku, baron F. Menu de Menil rozpoczyna stałą *Kronikę Esperantyczną* w znanym czasopiśmie podróżniczym: **Le Globe Trotter** (Paryż), która staje się odtąd „najpoczytniejszą niemal rubrykę tego pisma". Od grudnia podobnież, i hiszpańskie czasopismo specjalne: **El Minero Mexicano** (Meksyk) rozpoczyna umieszczać stałą *Kronikę Esperantyczną* oraz inne artykuły o języku Esperanto. Od końca też mniej więcej roku 1903 tygodnik literacki i artystyczny: **Ciecrone** (Boulogne sur Mer) wszystkie niemal swe szpalty zapełnia wiadomościami o ruchu esperantycznym w ogóle, a następnie (od r. 1904) wydaje pod redakcją adwota Alfreda Michaux, specjalny dodatek tygodniowy: „La Revue de l'Esperanto", który można uważać za organ samodzielny; jako taki, zaliczyliśmy go na swym miejscu do czasopism esperantycznych.

1904: Organ specjalny **Archives Générales d'Hydrologie, Climatologie et de Physicothérapie** (Paryż), pod redakcją d-ra Paul'a Rodet, rozpoczyna od roku 1904 drukować stale bardzo obszerne nawet artykuły w języku Esperanto oraz *Kroniki Esperantyczne*. I czasopismo: **Archives Générales de Thérapeutiques Physique** (Paryż) podobnież od roku bieżącego (1904) drukuje stale w języku Esperanto różne artykuły naukowe. Z początkiem też roku 1904 **Le Bulletin de la Société des Sciences Naturelles de Tarare** (Tarare—Francja), zaczyna drukować, dzięki bibljotekarzowi tegoż Towarzystwa, panu E. Cherblanc, *Kronikę Esperantyczną* w językach: francuskim i Esperanto. Od początku roku 1904 w dzienniku praskim: **Cas.** zaczynają się ukazywać drukowane stale artykuły o języku Esperanto. Od stycznia również roku 1904, p. Edward Bréon drukuje stale w każdym n-rze czasopisma: **L'Eclaireur Normand** (Elbeuf—Francja) *Kroniki Esperantyczne* oraz różne anegdoty i zdania w języku Esperanto, a nader głośny w swym czasie, acz krótko egzystujący dziennik londyński W. E. Stead'a: **Daily Paper** umieszczał stale co tydzień „lekcje" języka Esperanto i liczne o nim artykuły. W pierwszym też kwartale roku 1904, dzięki szwedzkiemu esperantyście p. Hugonowi Karlsteinowi, redaktor tygodnika dla wychowawców: **Tidnig för Uppfostrare** (Nalmö—Szwecja), p. Ola Bergström, zgadza się drukować stale dłuższe artykuły pedagogiczne w języku Esperanto. W marcu r. 1904 redakcja berlińskiego: **Friedens-Blätter**, w n-rze z 1-go tego miesiąca, zawiadamia swych czytelników, iż wkrótce rozpocznie w nim drukować kurs języka Esperanto, a następnie—artykuły w tymże języku. Powstały w połowie roku 1904, algierski przegląd literacki i artystyczny p. t. **Turco-Revue** (Algier) tak dalece zapełnia swe szpalty artykułami o języku Esperanto, że pismo to podobnie, jak „Le Cicerone" słusznie jest uważane za specjalny niemal organ esperantyczny. Podobnież od połowy roku 1904 powstałe czasopismo londyńskie **The Note Book** drukuje w każdym swym n-rze od 4 do 5 stronic w języku Esperanto. Od lipca też r. 1904, redaktor czasopisma: **Suida Cartofila Italiana** (Messina—Włochy) Diego hr. Cumbo, umieszcza w nim stale różne artykuliki i wiadomości, dotyczące rozwoju języka Esderanto. Dzięki zaś rozpoczętej niedawno propagandzie tegoż języka przez d-ra Dragumisa (Ateny Rue de Marseille, 22) w Grecji, redaktora ateńskiego przeglądu specjalnego: **Psichiatriki kai Neurologiki Epitheorisis** dr. Wlawianos oświadcza w sierpniu b. r. (1904), iż począwszy od września podawać będzie stale streszczenia w języku Esperanto drukowanych w swym piśmie artykułów, jak również, że po ukończeniu II-go tomu tegoż pisma, poda w języku Esperanto wykaz wszystkich, zawartych w nim artykułów. W n-rze wrześniowym czasopisma „Lingvo Internacia" z r. b. znajdujemy wiadomość, iż dyrektor francuskiej Agiencji Informacyjnej: **L'Etoile Polaire** (Thiers—Francja), rozpoczął w dwutygodniowym swym organie tejże nazwy—kurs języka Esperanto oraz zacznie niebawem drukować w nim stale różne artykuły w tymże języku. Od wrześcia r 1904, redakcja flamandzkiego czasopisma literackiego: **Klim Op** (Louvain—Belgja) umieszcza stale tłomaczenia na język Esperanto utworów pisarzów flamandzkich i holenderskich. Redaktor **Les Annales Politiques et Litteraires** (Paryż)—p. Adolphe Brisson zawiadamia (ob. „L'Esperantiste" z października r. 1904), że wkrótce rozpoczyna w swym piśmie, wydawanym w 100,006 egz., umieszczać stałe *Kroniki Esperantyczne* i różne artykuły w języku Esperanto. W ciągu też r. b. (1904) jeden z najpoważniejszych tygodników literackich amerykańskich: **Literary Digest** (Nowy Jork?) drukuje wciąż artykuły w języku Esperanto. Inne czasopismo specjalne, a mianowicie: **Le Bulletin du Musée Oceanographique**, wydawane w Monako, umieszcza dziś równie stale—artykuły o języku Esperanto.

Jest więc już, jak widzimy, *sześćdziesiąt kilka* czasopism *obcych*, nie licząc w to, oczywiście, *czterdziestu* już niemal, specjalnie esperantycznych—czyli **100 z górą** razem, różnych organów naukowych, literackich, artystycznych i t. d., bardzo gorąco propagujących ideę języka Esperanto. Możeby więc nareszcie i nam już wypadało zastanowić się nad tym nieco głębiej?

A. B. B.



Zaproszenie do przedpłaty na r. 1905.

Rozpoczynając rok czwarty wydawnictwa, tygodnik „NAOKOŁO SWIATA“ wychodzić będzie w r. 1905 podług dotychczasowego programu, mając na celu:

Zapoznawanie ze światem przez podawanie opisów podróży oryginalnych i tłómaczonych, oraz artykułów popularno-naukowych.

Zaznajamianie z krajem i ludem naszym w artykułach, opracowanych na podstawie materjałów świeżych, czerpanych z pierwszej ręki.

Jako **jedyne polskie pismo podróżnicze** tygodnik „NAOKOŁO ŚWIATA“ powinien zyskać szerokie rozpowszechnienie śród czytającej publiczności; mamy też nadzieję, że z biegiem czasu, choć w drobnej części, dorównamy pod tym względem zagranicy, gdzie tego rodzaju pisma, co „NAOKOŁO ŚWIATA“, liczą prenumeratorów na dziesiątki i setki tysięcy.

W roku przyszłym, obok nieustannego starania o obfitą i urozmaiconą treść pisma, zamierzamy powiększyć **objętość numeru** i rozszerzyć **dział ilustracyjny**.

Wykonanie jednak tych zamiarów zależne będzie od poparcia inteligientnych kół publiczności, do których zwracamy się z prośbą o wczesne nadsyłanie przedpłaty na r. 1905, ze względu na konieczność uregulowania ilości nakładu na rok przyszły, co dla każdego wydawnictwa stanowi sprawę pierwszorzędnej doniosłości.

Ponieważ w roku przyszłym nie będziemy wydawali „Bibljoteki podróży“, jako dodatku płatnego, (powieść drukowana będzie w tekście) tym sposobem prenumerata tygodnika „NAOKOŁO ŚWIATA“ wyniesie

TYLKO RUBLA KWARTALNIE

co dla najmniej nawet zasobnych nie może być znacznym wydatkiem. Dla uprzystępnienia zaś **kształcącej się młodzieży** otrzymywania „NAOKOŁO ŚWIATA“ wprowadzamy prenumeratę miesięczną, która wynosić będzie **35 kop.,** (z odnoszeniem do domu 40 kop.)

Nowoprzybywający prenumeratorzy, którzy nadeślą przedpłatę za rok z góry, otrzymają **bezpłatnie** niezmiernie interesujący opis podróży do bieguna południowego napisany przez oficera marynarki A. de Gerlache'a p. t.:

„15 miesięcy na Oceanie Antarktycznym“

obejmujący **300** str. druku z **90** rysunkami i mapami—jedynie za zwrotem kosztów przesyłki pocztowej 60 kop.

Prenumeratę na tygodnik „NAOKOŁO ŚWIATA“ przyjmują wszystkie księgarnie, biura dzienników, kioski (w Warszawie) oraz Administracja: **Hoża 52.** Ekspedycja na zagranicę: **Kraków. Grodzka 50.** Nadto dla wygody mieszkańców Pragi otworzyliśmy agienturę praską przy księgarni Stefana Rzymskiego, **Wileńska 1.**

Warunki prenumeraty:

W Warszawie	rocznie rb.	4	półrocznie rb.	2	kwartalnie rb.	1
W Królestwie i Cesarstwie	„ „	5	„ „	2,50	„ „	1,25
Zagranicą	„ „	6	„ „	3	„ „	1,50

Za odnoszenie do domu w Warszawie dopłaca się 15 kop. kwartalnie.

Niewątpliwie wielu naszych prenumeratorów nabywa dla swych rodzin, krewnych lub wychowańców książki na gwiazdkę; wybór odpowiedniej książki stanowi nieraz kłopot prawdziwy; ażeby go usunąć ofiarujemy wszystkim prenumeratorom po zniżonej cenie **1 rb.,** z przesyłką pocztową **1 rb. 60 kop.**, **jako najodpowiedniejszy podarek gwiazdkowy** dla młodzieży:

„Czarodziejskie powieści Andersena.“

O wartości literackiej tej książki rozpisywać się niema potrzeby, zbyt bowiem znane jest nazwisko jej znakomitego autora, nadmienimy tylko, że dzieło to, suto ilustrowane składa się z **4 tomów**, obejmujących każdy 300—400 str. druku, cena zaś jego w handlu księgarskim wynosi **rubli 6**.



PRZEMYSŁ i HANDEL KRAJOWY.

(nad.)

Nowy wynalazek. Tych, których matka-natura pozbawiła z biegiem czasu bujnych i ładnych włosów, ucieszy niezawodnie wiadomość o uleczalności łysiny. Do takiego wniosku doszedł ostatni doroczny konkurs międzynarodowego Towarzystwa medycyny doświadczalnej i patologji, który odbywał swoje prace pod kierunkiem prof. uniwersytetu w Stokholmie J. Mellersona. Przedmiotem rozpraw konkursu były: choroby skóry czaszki, pokrytej włosami, powstanie, rozwój i zanik systemu włoskowatego, oraz możliwe spososoby leczenia łysiny. Zgromadzeniu naukowemu przedstawiono 74 referaty wraz z opisem metod i uwagami o leczeniu. Trzej sprawozdawcy, wybrani drogą losowania z pośród członków komitetu, zbadali wszystkie wypadki uleczalności łysiny lub polepszenia, dowiedzione naukowo i doszli do wniosku, że „w większości wypadków łysina jest uleczalna, tak jak i inne choroby organiczne, jeżeli tylko leczy się radykalnie, stosownie do wskazówek terapji." Wobec takiego wniosku ciała lekarskiego, nie obojętną będzie dla wielu wiadomość, że wynaleziono właśnie nowy środek do włosów, zapobiegający tworzeniu się łysiny. Środek ten, nazwany przez wynalazcę p. L. S. Bejlina — **Kastolin**, niszczący łupież, zapobiega wypadaniu włosów i wywołuje nadzwyczajnie szybki ich porost. Prócz tego **Kastolin** p. L. S. Bejlina tępi doszczętnie bakterji, niszczące pigmenty i tym sposobem usuwa rozpoczynającą się już siwiznę, przywracając włosom kolor naturalny. Nowy ten wynalazek przeto ma, jak widzimy, niepoślednie znaczenie w życiu praktycznym.

Agientura w Łodzi: Księgarnia L. Fiszera, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.**

Agientura w Częstochowie: Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.** Za redaktora: **Antoni Orłowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 18 Ноября 1904 г. Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna 18.